

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

Pierwszy strzał	289
<i>Jan Sawa</i> : Sen Jermaka	293
<i>W. Gedrojć</i> : Wybory w Anglii	310
<i>S. Z. D.</i> : Listy z Niemiec. III.	315

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

WIEDŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni *Wih. Frick*, I. Graben Nr. 27
 we Lwowie w księgarni *Jakubowskiego & Zadurawicza*
 w Krakowie w księgarni *S. A. Krzyżanowskiego*.

1895.

TREŚĆ Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 i 9:

Od redakcyi.

Dr. T. Rutowski: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe.

Ks. Dr. A. Kopyciński: Rola księdza polskiego.

Prof. A. Wachnianin: Stronnictwa na Rusi halickiej.

Prof. Dr. A. Sokołowski: Uwagi krytyczne nad historją powstania styczniowego. I.

Dr. Witold Lewicki: Ad limina Apostolorum.

Stanisław Szczepanowski: Racyonalizm narodowy.

Dr. T. Rutowski: Reforma wyborcza.

Budżet Królestwa Polskiego. I.

Dr. Kazimierz Twardowski: Fryderyk Nietzsche.

Dr. Witold Lewicki: Francesco Crispi.

Jan Skrzydlewski: O ruchu muzycznym we Wiedniu.

Przesilenie w Koalicyi.

G. Smólski: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna.

Budżet Królestwa Polskiego. II.

Roman Lewandowski: Salon wiedeński.

Po upadku koalicyi.

Ks. Dr. Adam Kopyciński: Jednostka a społeczeństwo.

Dr. Kazimierz Twardowski: Monista mistyk.

Zygmunt Bytkowski: Maurycy Maeterlinck.

Dr. Witold Lewicki: Paszkwilantom.

Dr. Tadeusz Rutowski: Fabrykacja opinii krajowej.

Antoni Fibich: Ruch chłopski na Mazurach.

Dr. Zofja D.: Listy z Niemiec. I.

St. Szczepanowski: Sytuacja polityczna w Austrii.

Dr. August Sokołowski: Leliwa.

Zygmunt Bytkowski: Intérieur.

Dzień Cylei.

T. It.: Ministerstwo Madeyskiego.

Dr. Kazimierz Twardowski: Kultura etyczna.

S. Z. Dański: Kartka z życia umysłowego Poznania.

Stanisław Szczepanowski: Nowe kierunki w prasie „postępowej“.

Dr. Witold Lewicki: Stambułow.

Dr. Anna Wyczółkowska: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej.

Fraszki Rodocia.

Roman Lewandowski: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych.

M. Wierzbński: Z salonu londyńskiego.

Dr. Zofja D.: Listy z Niemiec. II.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa
obniżamy prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

Numer niniejszy przesyłamy na okaz z prośbą o przysłanie prenumeraty, lub zwrot numeru. Nie zwrócenie numeru uważać będziemy za przystąpienie do prenumeraty.



→ Wiedeń, dnia 27 lipca 1895. ←



Pierwszy strzał.

Przyjęcie przez Plenera wysokiego i dobrze dotowanego urzędu dziwne światło rzuca na jego polityczną karierę i tłumaczy to, co przedtem było niezrozumiałem, t. j. że już od dłuższego czasu stracił wszelki wpływ na swoje stronnictwo. Kto w ten sposób z przewodnictwa wielkiego stronnictwa parlamentarnego zrobił etapę do posady, nie potrzebował motywować złożenia mandatu przyczynami politycznymi, jak to uczynił w swoim liście do wyborców przed dwoma tygodniami, jak to ponownie uczynił w swojej mowie, wygłoszonej dnia 25 t. m. w Izbie handlowej Chebskiej. Opinie polityczne prezydenta państwowego trybunału rachunkowego zgoła nas nie interesują. Mogły zaś interesować opinie szefa stronnictwa, lub wogóle polityka. Opinie zaś wygłoszone przez polityka tylko wtenczas mają sens, jeżeli stanowią odwołanie się do wyborców i do opinii publicznej. Polityk chwilowo pobity, zawsze może się na nowo stać zawiązkiem nowej większości, która się koło niego skupi. U Plenera polityka, wypowiedzenie, że trwa nadal przy polityce koalicyjnej, że uważa sprawę cylejską jako drobną, która nie powinna była doprowadzić do obalenia całego systemu politycznego, byłoby aktem odwagi i głośnego wypowiedzenia tego, co było w duszy większej części stronnictwa. Mogło być punktem zwrotnym w nowej organizacyi tego stronnictwa i prawdopodobnie byłoby mu w niedalekiej przyszłości powróciło wpływ i kierownictwo. Te same słowa wypowiedziane przed rokiem, byłyby prawdopodobnie usunęły katastrofę. Ale Plener, urzędnik, cofający się po przegranej na wygodne stanowisko, a pozostawiający swe stronnictwo w błocie i jeszcze dorzucający kamienie na swoich dawnych towarzyszy, tylko uniemożliwił zajęcie po-

dobnego stanowiska przez kogokolwiek innego i tylko dalej pchnął lewicę na fałszywą drogę polityki czysto rasowej. Co najmniej wypadło mu milczeć. Nie zgadzamy się z tymi, którzy utrzymują, że ostatni krok Plenera usuwa się z pod krytyki publicznej, bo odnosi się do rzeczy czysto prywatnej. Szef stronnictwa nie należy tylko do siebie samego. Pomiedzy nim a stronnictwem istnieje stosunek zobopólny. Czy byłby się stał szefem stronnictwa, gdyby ono z góry wiedziało, że tak postąpi? Czy stronnictwo by nie było wybrało lepszego i wytrwalszego przewodnika? Swojem postępowaniem skrzywdził Plener swoje stronnictwo, bo przyczynił się do wzmocnienia i stwierdzenia dawnego zarzutu, że lewica niemiecka jest stronnictwem hofratów i verwaltungsratów. Skrzywdził parlament, bo daje pozór usprawiedliwienia tej cynicznej maksymy, że każdy człowiek ma swoją cenę. A przede wszystkim skrzywdził zasadę liberalną i jedną z najważniejszych zasad prawdziwego liberalizmu, t. j. że charakter i niezależność opinii nie wymagają majątku i mogą się znaleźć w każdej sferze majątkowej, choćby najuboższej. Od czasu jego ustąpienia ciągle słyszeć się daje: „Ufajmy tylko ludziom majątnym, którzy na polityce nie mają do zyskania.“ W kołach inteligencji nie zamożnej ale niezależnej, która w parlamencie u wszystkich stronnictw liczone i w całości chlubnie jest reprezentowana, ta strona upadku Plenera najboleśniej została odczuta.

* * *

Po ustąpieniu Plenera została w partyi niemieckiej lewicy próżnia. Hr. Wurmbrand nie cieszył się nigdy sympatją swego stronnictwa, z powodu tego, że w ustawach socjalno-politycznych prowadził wodę na młyn antysemitki. Stanowisko wielu innych zostało zachwianem, chociaż dotąd tylko jeden ustąpił i to jeden z najsympatyczniejszych członków lewicy, Dr. Aleksander Peez, znany ekonomista. Hr. Franciszek Coronini, który chociaż nie należał do właściwej lewicy, zawsze był uważany jako jeden z możliwych jej przewodców, także padł jako ofiara sprawy cylejskiej (Hr. Coronini chciał głosować za Cyleją, ale klub jego nie pozwolił) i złożył mandat.

W tem rozbiciu pierwszy wstąpił w szczyby br. Chlumecky, który jako prezes Izby zwykł się być uchylać od enuncyacji politycznych, a który teraz w ogólnem rozbiciu jeszcze najlepiej zachował swe stanowisko polityczne.

Tem ważniejsze są słowa, które wypowiedział br. Chlumecky w Znaimie w imieniu swego stronnictwa. Mowa br. Chlumeckiego w Znaimie przypomina ten sam ton niezachwianego zaufania w przyszłość *determined hopefulness*,

z jakim mówił niedawno pobity William Harcourt w Monmouth. Konstatuje rozbieżność dawnej większości, ale oświetla tylko te czynniki, które mogą prowadzić do odtworzenia dopiero co zniszczonej budowy politycznej. Jak Harcourt przywiódł na pamięć dawne zasługi stronnictwa i wypowiedział przekonanie, że naród angielski, ile razy odczuje potrzebę reform zasadniczych, musi się zwrócić do stronnictwa liberalnego, a ile razy chce wypocząć po reformach, następuje odpływ fali i spokojne panowanie torysów (ale są to tylko chwilowe objawy — postęp jest zawsze po stronie liberalnej —) tak br. Chlumecky, jak tego się inaczej nie można było spodziewać, identyfikuje się z faktami dokonanymi przez stronnictwo — ale nie spuszcza z oka warunków przyszłej organizacyi. Br. Chlumecky, stary polityk, rozumiejący doskonale potrzeby chwili, powiada swemu stronnictwu bez ogródek, że dziś w Austrii bez reformy wyborczej żaden rząd nie potrafi się utrzymać, a przez reformę wyborczą nikt przeskoczyć nie potrafi. Br. Chlumecky zanadto dobrze zna i rozumie niebezpieczeństwa, grożące stronnictwu niemieckiej lewicy w Austrii, iżby się na chwilę ludził, że reforma wyborcza może wypaść na korzyść temu stronnictwu. Oświadcza więc wprost, że każda reforma wyborcza, jakaby niebądź była, przyniesie szkodę niemieckiej lewicy, chociażby dlatego, że w nowych mandatach oni nie będą mogli szukać wynagrodzenia za straty, jakich się spodziewają w starych. dodaje jednak, że głównem zadaniem stronnictwa niemieckiej lewicy musi być zdobycie stolicy. W tym celu odzyskanie wolnej ręki było dla stronnictwa niemieckiej lewicy nader cennem, gdyż rząd ks. Windischgrätza, nie umiał lub nie chciał poskramiać ataków antysemitów, a stronnictwo liberalne w koalicyi związane, traciło z każdym dniem na zaufaniu stolicy.

Pan Chlumecky tłumaczył także powody, dla których stronnictwo jego głosowało w trzecim czytaniu za budżetem, pomimo, że tenże zawierał pozycyą na gimnazjum w Cylei. Tłumaczył to znanymi nam zresztą względami państwowemi. Dziwić się należy że te same powody, które nakazywały stronnictwu niemieckiej lewicy głosować w trzecim czytaniu za budżetem, nie potrofiły go skłonić do głosowania za tą samą pozycyą w drugim czytaniu przy budżecie ministerstwa oświaty.

Zapowiedziany przez br. Chlumeckiego projekt reformy wyborczej nie jest nowym, jest pewnem zbliżeniem do kuryi powszechnego głosowania z belgijskiem podwójnem prawem głosowania. Projekt ten tylko w takim razie może być brany na seryo, gdyby się okazało, że klub hr. Hohenwarta mógłby zanim głosować. W Austrii bowiem nie może być mowy ani

o najlogiczniejszym, ani o najdoskonalszym projekcie prawa głosowania, który o takim, który jest w stanie dwie trzecie większości Izby zadowolnić.

* * *

Reforma wyboreza, ugoda z Węgrami ugoda z bankiem Austro-Węgierskim to są trzy konieczności w najbliższej przyszłości.

Porozumienie się wzajemne, wspólna linia wytyczna w tych trzech kwestyach jest „*conditio sine quibus non*“ zorganizowania każdej przyszłej większości.

Bez takiego porozumienia się i bez takiej na porozumieniu w tych kwestyach zorganizowanej większości żaden rząd w Austrii utrzymać się nie potrafi. Nie potrafi nawet jak gabinet księcia Windischgraetza utrzymać się 18 miesięcy. Bo tych kwestyj odroczyć niema sposobu — i nie można przez nie przeskoczyć.

Słyszeliśmy już z ust br. Chłumeckiego pod jakimi warunkami niemiecka lewica gotową jest popierać owe konieczności państwowe.

Czekamy na enuncyacye innych stronnictw. Programem przyszłych dwu lat musi być rozwiązanie tych a nie innych zadań. Niema miejsca na wybór.

Ten będzie w Austrii rządził, kto te trzy kwestyje potrafi rozwiązać.



Sen Jermaka.¹⁾

Wszedł i soboli kolpak cisnął z głowy
 Pód pułap niski, zeczerniały, dębowy,
 Z którego ciężkie zwieszały się chmury
 Dymu kadzidel i ciemnej purpury.
 Kolpak podleciał, jak ptak krasnopióry.

Chwycił go Jermak nad czołem golonem,
 I do nóg cara uniżył pokłonem.
 Car na prestole siedział. Ten był kryty
 W kościelne lamy, w blachy, w aksamity,
 Łup na Inflantach i Litwie zdobyty.

Car na prestole siedział. Drzemał może,
 Bo puścił z ręki kolczastą obrożę
 Brytana, co miał przednie łapy sparte
 Na szubie pańskiej; lecz oko przetwarte
 Na sudiebnika car wbite miał kartę.

A palec jego pożółkły i mgławcy,
 Powolnym ruchem przez „statja“ i „gławy“
 Słowo: śmierć — wskazał i przez sen je ciśnie.
 Zbladł Szujski . . . Zda się ku niemu umyślnie
 Z sennej powieki raz po raz wzrok błysnie.

Stoją bojary ważne. Delje, szuby,
 Krasne kaftany, na futrach zwierz gruby,
 Strzyżone brody, włos niski u czoła,
 Tak jak nosił prześwięty Nikoła.
 Wszedł Jermak. szmery powstały dokoła.

¹⁾ Jermak Timofiejew, ataman Kozaków Dońskich, pobił chana Kuczuma 1582 r. Wziął stolicę jego Iskier i ziemie Sybirskie poddał Rosyi za Iwana Groźnego.

Wprowadzony przed cara dla uzyskania wojsk na te wyprawy, opowiada senne widzenie bogactw Sybiru i przyszłych mąk Polski.

Dziwnie-bo hardo ten wkroczył wataga
 W próg pański! Szabla brzęknęła mu naga.
 Co? Czy nad Wołgą-matuszką, nad siną,
 Mniema ze swoją łupieżycę drużyną?
 Drzeż z kupców łyka i słodkie pié wino?

Ten Timofiejka za głośno coś dmucha!
 Czas-by mu przyciąć seledec od ucha...
 Wtem z drzemki pańskiej podniosła się głowa.
 Spojrzał car chytrze w bok na Strogonowa
 I skinął.

Jermak w te ozwał się słowa.

— — — — —
 „Śnił ja, Caru-Hosudaru,
 — Daj tobie Boh wszystkie lata,
 Wrogów, coś ich zbił ze świata! —
 Śnił ja, że z bożego daru,
 — (Pokłon mu i krzyż na czole!) —
 Jak ty siedzisz na prestole,
 Co jest w złote lamy kryty
 I w cerkiewne aksanity
 Na Połocku łupem wzięte,
 I w ikonów blachy święte
 Z litewskiego wzięte kraju,
 Tak ja siedział na Ałtaju!

Boh-mi! Jak tę szablę w ręku
 Nad kozackim trzymam Donem,
 Takem siedział, jak na lęku,
 Na lodnisku wysrebronem
 W podmiesięczne światło białe...
 Z jednej strony miałem strzemię
 Złote: Ałtaim-dalę,¹⁾
 Z drugiej, strzemię diamentowe:
 Etag-Ałtaj,¹⁾ w perły tkane,
 A pod sobą wielkie ziemie,
 A nad sobą gwiazdy szklane.
 Chroni Boh w sławie twoję głowę!

A nie skazać tego w skazkach
 Na najdłuższej wieczornicy,

1) i 2) Szczyty gór Ałtajskich.

Com ja widział w tej stannicy.
 Bielki¹⁾ stają tam w zapaskach
 Ze szczerego szytych śniegu,
 A gdzie brakło szwu i ściegu,
 Tam się ruda szczerozłota
 Ognistemi blaski miota.
 Góra strzynać-bo nie może
 Skarbu, co jej boki porze,
 I wypuszcza poprzez żebra,
 Garście złota, garście srebra.

Tylko isć i zbierać w szłyki,
 I bić jasne grywienniki!

A nademną miesiąc siny,
 A podemną trzy doliny.

Przez tę jedną Irtysz bieży,
 Nad Amurem druga leży,
 A Jenisej trzecią płynie . . .

Jak wzrok puścić po dolinie,
 Tak wzdłuż każdej rzeki biegu
 Ludy leżą na noclegu.

Bajgavyńskie tam Kirgizy.
 U kibitek wiążą chmyzy,
 I swe mleczne klacze doją.
 Tam Iszynice jurty stroją.
 Na mamuta kościach wsparte,
 Gdzie do wnętrza patrzą gwiazdy . . .
 A jest owo pokolenie
 Na troisty szczep rozdarte,
 Od uprzęży i od jazdy
 Zwane konne, psie, jelenie.

Tam się Koszem Czuczke kładą,
 Tam Ostjaki z twarzą bladą,
 Tam Tatary mają harce,
 Tam Woguły i Buharce,
 Samojedy i Kalmuki
 Suszą skóry, troczą juki.

1) Śnieżne, kruszcowe pasmo gór Altajskich.

Tam Baszkiry i Wotiaki,
Przez miesięczne ciągną szlaki,
Tam Burlaty, Czeremisy,
Ostrzą noże, kują spisy,
A po jurtach gęsto wisi,
Sobolowy szłyk, a rysy.

Hu! Co mocy w owych ludach,
Co chyżości w końskich udach,
Co w kibitkach dobra zdybie!
Hu! Co tłuszczu w rzecznej rybie,
Co białości gronostajów.
W oczy bije z onych krajów!

Pojrzę w zachód — Irtysz płynie,
A na prawym jego brzegu,
Na Altajskiej wierzchowie,
Aż do nieba leży śniegu . . .
Spisą dotknąć tam miesiąca!
A na lewo step bez końca,
I kirgizkie białe czuchy,
I jelenie ostre słuchy,
Inorodce koczownicze,
Poklaskują w śmigłe bicze,
Od Sajańskich gór gdzieś klaszcze
Echo wolne i hulaszce.

Sto mil płynie Irtysz-rzeka
Pod zachodnią nieba zorzą,
W siny Dżajson, ¹⁾ co zdaleka
We mgłach stoi, niby morze . . .
Sto mil modre lenty wiję,
Aż w Altajską wpadnie szyję,
Aż go w bryzgach jasnej tęczy
Sam Boh-Gospod z Obiłą zwieńczy.

Patrzę na wschód — tam ucieka
W wielkich szumach Amur rzeka.
Pogarbione wzgórze płowe,
Bory ciemne, modrzewiowe.
Niby czerńce w kutach stoją . . .
Mnogie jurty aż się roją!

¹⁾ Jezioro Dżajson, przez które Irtysz przepływa.

Po oboim Leny brzegu
 Naśleg dymi przy naślegu. ¹⁾
 To Żegański Ułas sławny,
 Gdzie Jakuty i Tungury,
 Szyją z renów swe kapury,
 I stadami kraj bogacą
 Haracz płacąc starodawny,
 Lecz nie tobie haracz płacą!

Chan tam Kuczum siedzi carem,
 Mnogie dobro bierze darem,
 Mnogim ludom śle rozkazy.
 Car-gród jego, Iskier zwany,
 Nad Irtyszem budowany,
 W pnie cedrowe, taj w almazy!
 Car tam Kuczum chanem siedzi,
 Na sobolich futer szłykach,
 Na jedwabnym rysim puchu . . .
 Prestoł ma na niewolnikach,
 Na iskrzącej gołodzi
 Peret, nogi trzyma obie,
 Przed nim stoją złote szczoty,
 Przy nim niedźwiedz na łańcuchu.
 To po grzbiecie chan go skrobie,
 To znów szczot przesunie złoty.

Ile razy Miškę głaśnie,
 Tyle topór łbów utraśnie,
 Ile razy ruszy szczota,
 Tyle kies mu niożą złota.

I puściłem oczy kołem,
 I ostrogą Altaj spałem,
 I wyniosłem się na lęku,
 Nad te wody, nad te ziemie,
 I ścisnąłem szablę w rękę,
 Aż mi złote trzasło strzemię!

I machnąłem od woschodu,
 I dobyłem Iskier-grodu,
 I machnąłem od wostoku,
 I powiodłem jasyr w troku,

1) Osada z wielu jurt złożona.

I machnąłem od północy,
I chan Kuczum pozbył mocy,
I machnąłem z juźnej strony,
I padł jego łeb golony!

I potoczył się doliną,
Za tą Wołgą, za tą siną,
I potoczył się z pokłonem,
Za tym sinym, za tym Donem,
I potoczył się skroś drogi,
Przez trzy góry, przez trzy szczyty,
Pod prestola aksamity,
I pod carskie twoje nogi!

Jak daleko, jak szeroko,
Zabujało teraz oko . . .
Aż do nieba szło milczenie,
Aż do ziemi pokorenie,
Wilk na pełnię zawył siry,
Zakrążyły orle skwiry,
Syty szakal wabił głosem,
Pod Czukockim, samkę, nosem.

— — — — —
Odetchnął Jermak. A na pańskiej twarzy
Srogosć się w oku, uśmiech w ustach żarzy,
Wpół lubieżnika lico, a wpół kata.
Unióśł się schylił, obróza koleczata
W rękę mu zgrzyta. Chce poszczuć pół świata.

Naprzód podany waha się, czy w pyłe
Zdeptać watażkę, co widzieć śmiał tyle
Wzrokiem, co nie był wzrokiem carskiej głowy . . .
Aż na tron opadł, znak dalszej dał mowy.
Więc Jermak temi prowadził rzecz słowy:

— I puściłem oczy koleń,
I ostrogą Altaj spiąłem,
I wyniosłem się na łęku,
Nad te wody, nad te ziemie,
I ścisnąłem szablę w rękę,
Aż mi drugie pękło strzemię.

Hej, co stepu, Hej, co głuszy!
 Co dobyczy dla karmana.
 Hej, zahulać ruskiej duszy,
 Od tumana, do tumana!
 Hej, wypuścić konia-dońca,
 Po gwiazdami bitej drodze.
 Po miesięcznej tej srężodze,
 Do samego oceana,
 Do samego świata końca!

I uderzył wicher z wysoka,
 Od obłoka, do obłoka,
 I wyjące puścił głosy,
 I rozwichrzył blask perłowy.
 I rozłagał złotogłowy,
 I pokazał dalsze ciemnie,
 I stanęło serce we mnie,
 I stanęły na łbie włosy!

Siność wielka i drgająca,
 Wylupione oczy słońca,
 Ani życia, ani śmierci,
 Tylko pustka w mózgu wierci,
 Tylko sen, a sen bez końca.

Ej ty Bohoj, Ej Hospody,
 Tam . . . tam były wieczne lody!

Żebyż wieja a śnieżyca,
 Żebyż tucze i tumany!
 Nic, tylko ten obzor szklany,
 Wyiskrzony do księżyca
 Upiorowym, sinym błyskiem . . .
 Tylko cichość przeraźliwa,
 W którą nie śmiesz puścić słowa,
 Tylko sen, a sen głęboki.
 A nad owem lodowikiem,
 Ni to martwa, ni to żywa,
 Z pod iskrzastej powołoki,
 Głowa carska się tam kiwa,
 Na obiedwie świata strony,
 Hosudarska twoja głowa!

I zacząłem bić pokłony,
 I wybiłem dwa soroki,

I stuknąłem w Altaj czołem,
Aż skry poszły, taj przecknąłem.

Ej, Batuszka ty rodzony!
Sen to, sen był nawidzony . . .
Nie odleciał kruczem piórem,
Nie odleciał złotą czajką,
No opętał głowę durem,
Ni to prawdą, ni to bajką,
Ni to widem, ni to cieniem,
Ni niebiesnem zajawieniem!

— — — — —
I śnił, Caru — Hosudaru,
— Daj Boh sławno bić twe wrogi! —
Że z ziemnego świata szaru ¹⁾)
Szły w te kraje cztery drogi.

A ta jedna — łzami złana,
A ta druga — kośćmi siana,
A na trzeciej — krwi w kolana.

Czwarta droga była pusta.
Niewidzialne tylko usta,
Milionowe ciche głosy,
Jęk w nią słały pod niebiosy . . .
I nie na tej łzami złanej,
I nie na tej kośćmi sianej,
Lecz najwięcej było lęku,
Na tej wielkiej drodze jęku!

I otworzył się mir boży
Od tej zorzy, do tej zorzy,
I pokazał wnętrze sine,
W dal bezmierną i w głębinę . . .

A w bezmiernej sinej dali,
Siewierna się łuna pali,
A w bezmiernej sinej głębi
Krwawy opar się tam kłębi . . .

I śnił, Caru—Hosudaru,
— Daj tobie Boh moc i sławę! —

¹⁾ Okręgu.

Że z sinego gdzieś oparu,
 Wyszły jakieś widy mętne,
 Jakieś mary obłąkane,
 Tłumy ciche i zmieszane,
 Bładościami śmierci smętne,
 I czerwienią męki krwawe . . .

I szła na mnie ciżba cała,
 Podniesionych rąk w powietrze,
 Rozwiczrzonych włosów siwych,
 Oczu zgasłych i nieżywych,
 I myślałem, że mnie zetrze!

I szła na mnie ciżba cała,
 Od śmiertelnych twarzy biała,
 Od śmiertelnych tchów dysząca,
 Od śmiertelnych potów drżąca . . .

A nie same tam junaki,
 I nie same bohaterzy,
 No i didy, no i żaki,
 No i księdzy laszej wiry,
 No i dziewczki, taj matki,
 Taj u piersi małe dziatki.

I zaczęli iść . . .

— Hospody!

Różnem widział już pochody,
 Pochorony, taj i gody,
 A takiego nie widziałem!

I szli, szli tak, morzem całem . . .

Zgasłe twarze, białe brody,
 Włosy krucze, lniałe, siwe,
 Zaciśnięte niemo pięście,
 Aresztancki szmat przez pleco,
 Ogolona przez pół czaszka . . .
 Mary nędzne, ledwie żywe,
 Ledwie tchnące resztką duszy,
 W zmarzłych śniegów szli tak chrzęście,
 W wyskrzonych lodów głuszy,
 Obracając na jug oczy . . .
 A nad nimi śwista szaszka,
 A za nimi kruki lecą,

Lecą kruki od Urala,
Zawywają wilki zdala.

Co i raz to kozak skoczy,
I nahajką grzbiety liczy.
Co i raz tam padnie który,
Z zamarznąłą słońcą w oku,
I ustami niemo ruszy . . .
Jeden jęk — i cisza głucha.
Taki ciągną z sobą trupa,
Zakutego u lańcucha,
Aż do wiorsty, aż do słupa,
Co tam czeka swej dobyczy,
Dół rozgrzebią i do dziury!
Wiatr wygładzi śnieg przypruszy,
I nie zgadnie o pół kroku,
Że tam leży trup człowieka,
I carskiego sądu czeka.

I szli, szli tak, szli . . .
Nie znają,
Czy godziny, dni, czy lata,
Czy wiekowe pokolenia,
Ze swojego gnani kraju,
Aż na kraniec, na zrab świata,
Na pustynne posiedlenia . . .
No, ja patrzył tam z Altaju,
No i widział naród cały,
Jak go lody polykały,
No ja widział twoje wrogi,
Skrós tej wielkiej jęku drogi,
Od prestalnej twej stolicy,
Aż do lodów twych granicy,
Walące się martwym ciałem,
No, a konicia nie widziałem!

Za dziadami poszły ojce,
Za ojcami poszły syny,
Za synami poszły wnuki . . .
A jak padły te mołojce,
I ugryzły syrej gliy,
Pchały samo matki suki,
Swe najmłodsze pachole'a,
Nie mające klów szczenieta . . .

I odkryły się ciemnice,
 Jak szeroko i głęboko,
 I stanęły szubienice,
 Jak daleko i wysoko . . .
 I zabłysnął po pod nowiem,
 Rudnik złotem i ołowiem,
 I skrzypnęły smolne słupy,
 Czekaające na swe trupy . . .

Cichy miesiąc srebrem śnieży,
 Po Altajskiej wierzchowinie,
 Głucho, martwo Irtysz płynie,
 Skrósł lodowych gdzieś wybrzeży . . .
 Głucho, martwo biją wloty,
 W taczki kując ręce, nogi . . .
 Wzdłuż usianej kośćmi drogi,
 Are-ztanckie ciągną rotę.
 Ciągną rotę, taj śpiewają,
 Słowa sobie podawają,
 Nie tak słowa, jako łkanie,
 Ni to wycie, ni śpiewanie.

— „Ej ty maty, moja maty,
 Lepiej by się utopiła,
 Niż mnie, syna, porodziła!“ —

Barabańszczyk w bęben bije.
 — „Wy gdzie?“ — „W Sybir!“ — „Wy zkąd?
 [Czyje? —
 — „Bez dosługi my żołdacy!“ —

I śnił, Caru—Hosudaru,
 Że tam jeden chłopiec drobny,
 Nie mogący znieść ciężaru
 Kazionnego karabina,
 Do mojego — Boh-mi! — syna
 Karaczońka, dość podobny,
 Runął twarzą w śnieg do ziemi . . .
 Jak to drewno padł na pował,
 Sztynne ręce rozkrzyżował,
 I tak został za innemi.

Poskoczyli we trzech razem,
 Taj feldfelbel, oficerzy,

Ten nahajką, tamci płazem . . .
— „Trzysta pałek, marudery!“ —

Barabańszczyk w bęben bije . . .
— „Stój! Formuj się! .. Marsz!“
— Nie żyje.

I zjeżyły mi się włosy,
I zacząłem zimnej rosy,
Gwiazdy tam nad światem stały,
Zimną rosą zapłakały.

— — — — —

I ujrzałem nad Amurem,
Nad Irtyszem, nad Tobolem,
Jak zórawim leci sznurem
Rząd kibitek śnieżnym polem.
Nad rysakiem knut zaświśnie,
Dzwonek głuchy brzęk dobędzie,
I pod miesiąc bagnet błysnie,
I kajdany szczękają w pędzie. —
Lecą długim korowodem . . .

A w kibitce na barłogu,
Wywleczony gdzieś z ostrogu,
Pod pałkami niedobity,
Niedomorzon twardym głodem,
Posieleniec w Sybir leci . . .

Łeb golony żółto świeci,
Burą czuchą grzbiet nakryty,
Sterczą kości skutej nogi,
Skóra przyschła mu na rękę,
Skóra przyschła na języku,
Sine usta zapomniały,
Człowieczego dobyć jęku,
Człowieczego dobyć krzyku,
Zapomniały nawet głosu . . .

Hurra Ho! Szczęśliwej drogi!
Szczęśliwego tobie losu!
Na pohibel carskye wrogi!..

Sam tu wołki! Sam tu wrony!
Będzie wolecze weselisko,
Będziem tu gdzieś hasać blisko,

Taj przepijać winem, miodem,
Taj się nowym cieszyć rodem!
Posieleniec w Sybir leci . . .

Niechno się odliże trocha,
Niech zapomni, a pokocha,
Posielewiec posielony,
Chce — dostanie cztery żony,
Byle tylko płodził dzieci,
Dla tej ziemi naszej dawnej,
Dla tej wiry prawosławnej!

Nad kibitką, w śnieżnym stepie,
Jastrząb we mgłach skrzydłem trzepie,
Zakołuje, taj zakraka,
Taj uderzy w łeb junaka.
Nie odgadnie oko ptasze.
Czy człek żyw, czy padło lasze . . .

Hu! Nim dojrzy, nim odleci,
Już izwoszczyk, drugi, trzeci,
Już dziesiąty, już i setny,
W kraj gdzieś pędzi pozaświetny . . .

Przelecieli długim sznurem
Nad Irtyszem, nad Amurem,
Przelecieli śnieżnym polem
Nad Angarą, nad Tobolem.

Nie nadarmo jastrząb kracze!
Poczuł trupa! Tfu, do bisa!
Będzie w księdze czarna krysa,
Posielenna będzie chata
Na młodszego czekać brata!

Zimna głowa zeszywniała,
Po kibitce się kołacze,
Jak rozbity czerep pusty;
Twarz surowa, cicha, biała
Zotwartemi niemo usty,
Szklistem, zimnem patrzy okiem
Po tem niebie, po głębokiem,
Gdzie polarna gwiazda świeci . . .

A izwoszczyk śmiga biczem.
 Durny! Nie wie nic o niczem,
 Na rysaka pokrzykuje,
 Trupa wiezie, taj nie czuje...
 — Posieleniec w Sybir leci! —

Nie do gładkiej Kałmyczychy,
 Ni Jakutki, ni Burlatki,
 No przysieli się on, cichy,
 Do tej syroj ziemi — matki...
 I nie będzie jemu w głowie
 Płodzić tobie mnogie syny,
 Pod kazonne karabiny,
 Prawosławne płodzić dzieci,
 No wypłodzi czerwia mrowie,
 No wyjąącym tym s**o**bakom,
 Ciało da sybirem brakom...¹⁾
 — Posieleniec w Sybir leci!...
 — — — — — — — — — —

I zerwałem się oekniomy,
 I spojrziałem na ikony,
 I wybiłem trzy pokłony...

No, pokojnik ten, ta głowa,
 Zimna głowa pokojnika,
 Głowa cicha i surowa,
 Z okiem, co się nie zamyka,
 I zamazła w słozach rzęsą
 Prosto patrzy w Hospod-Boga...
 No kibitka ta, ta droga,
 Gdzie się kości suche trzęsą,
 No ten bagnet praporszczyka,
 Co tej trupiej ręce grozi,
 No pijany głos jamszczyka,
 Co po stepach miertwca wozi,
 Te widziane w śnie obrazy,
 Szły, a szły, a szły na glazy...

I prekrestiła trzy razy
 W imia Otca, Syna, Ducha...
 A wtem jakaś zawierucha,

¹⁾ Brak = ślub.

Jakieś pieśń, jakieś głosy,
Jakieś wielkie błyski kosy,
Jakieś klątwy, jakieś krzyki,
Jakieś echa i muzyki,
Jakieś ognie i tententy
I wołania i lamenty,
Zawichrzyły się przedemną
Nagłym szumem, nagłym wzdorem,
I pomknęły w pustkę ciemną,
Ni to widem, ni upiorem,
Ni to marą, ni to cieniem,
Nie niebiesnem zajawieniem!

I widział ja świat ruszony,
I widział ja gród czerwony,
I spętane widział spiże,
I zrąbane szaszkał krzyże.

I widział ja czasy znojne,
Ni to boży mir ni wojnę,
Tłumy wielkie a spokojne,
Po ulicach pokłęknięte,
Taj modlitwą swą pijane,
Taj w wichrowy hymn porwane,
Tłumy straszne, taj i święte!

I widział ja świat ruszony
I bijący grom w korony...
A z korony orzeł leci,
Błyskawicą w niebo świeci,
I upada przed twym tronem,
Skrzydłem białem i skrwawionem.

Jak daleko, jak szeroko,
Krew i ogień bije w oko...
Aż do nieba tam zniszczenie,
Aż do ziemi pokorenie...

I pobielał świat od trwogi,
I do carskiej przypadł nogi,
I leżała u twej stopy
Połowina Europy...
I łeb kładły tam Azjany
W pawie pióra przetykany...

I błysnęłaś ponad światem,
 Berłem mordu, krwi bułatem,
 I błysnęłaś lodów panem,
 Nad siewiernym oceanem
 I nad polem kości sianem...

I zagrzmiałeś w kajdan szczęku,
 Wskroś katożnych rabów jęku,
 I zająwił ty swe przyjście
 W stuku pałek, w knuta świście,
 I zająwił ty się w głodach,
 W morach, w ogniach, taj w pochodach,
 I zabłysnął ty nad wrogiem
 Carem-katem, carem-Bogiem!

— — — — —
 Wstał car, jak gdyby okiem moc swą mierzył,
 Wzrok, jak ryś, zmrużył, a nozdrza rozszerzył,
 Krwi i potęgi dysząc aromatem.
 Poczem siadł, szuby nakryty szkarlatem
 I cicho śmiał się... Bogiem czuł się — katem.

Lecz Jermak zrobił trzykrotni do tronu
 I stanął hardo przed nim, bez pokłonu.
 W błyskach i w ogniach twarz mając surową,
 Głośnym szeptem rzecz podjął ua nowo...
 Jak żmija syczy każde jego słowo.

— — — — —
 I śnił, Caru-Hosudaru,
 — Sławna tobie żyzi u Boga! —
 Że z całego tego gwaru,
 Z tej burzliwej zawieruchy,
 Wstała jakaś cichość sroga,
 Z pustki, z cienia gdzieś idąca,
 Cichość groźna i dysząca,
 Cichość dziwna, rozszeptana,
 Tu, tam, gdzie to ponad głową,
 Gdzie to ziemią wskroś surową,
 Z mogilników gdzieś przywianą,
 Kiedy w północ szepcą duchy...

I rozeszły się, rozwiódlę
 Szmary ciche w całym carstwie,
 W prawosławnym hosudarstwie,
 Od szelestu czarnej jodły,
 Co gdzieś w borów stoi głębi,
 Aż do wielkich, białych grodów,
 Gdzie bujany domy stroją,
 A od grodów do ziemlanek,
 Gdzie muzyka bieda gnębi,
 I po wszystkich twoich czynach,
 Po wyżynach i głębinach,
 Do prestolnej twej stolicy
 I do carskich twych ogrodów,
 Gdzie się drzewa ruszyć boją,
 I do carskiej twej świetlicy,
 I u łoża do firanek . . .

I widziałem głowę twoją,
 Hosudarską twoją głowę,
 Co się, by cerkiewne dzwony,
 Na dwie świata chwieje strony,
 Tu w połowę, tam w połowę,
 Jak z niej siny strach wybija,
 Jak wysadza oczy z dołów,
 Jak twarz blednie, gdyby ołów,
 Jak się pod nią kureczy szyja,
 Wyciśnięta z krwi i pusta,
 Jak ziewają białe usta,
 Jak ci na łbie wstają włosy . . .

No a szepty te i głosy
 Idą chyłkiem nocnej ciszy.
 No, a strach tam z cienia dyszy,
 Wskroś carskiego twego gmachu
 Nietoperzem bijąc skrzydłem.

A dokoła pustka głucha,
 Ani człeka, ani ducha,
 Ani domu, ani grodu,
 Ani ludu, ani rodu,
 Ani syna, ani brata,
 Tylko wielkie śnieżne pole,
 Tylko trup twój na prestole,
 Tylko w rasie pop z kropidłem
 W cztery strony kropi świata . . .

Jan Sawa.

Wybory w Anglii.

London, 23. lipca 1895.

Dnia 24 czerwca b. r. ustąpił gabinet liberalny Rosebery'ego, a lord Salisbury powołany został do utworzenia nowego gabinetu. Tym razem nie idzie jedynie o tradycyjną zmianę gabinetu liberalnego i zastąpienie go konserwatywnym, lecz o jedną z tych historycznych epok przetworzenia stronnictw, jak niegdyś za Canninga i za czasów Roberta Peel.

Lord Rosebery miał 28 głosów większości i te mu wystarczyły zupełnie do utrzymania się przy sterze władzy; ale przy ostatniem głosowaniu ta skromna większość zmieniła się w mniejszość 7 głosów i gabinet liberalny, pobity siedmiu głosami, musiał ustąpić.

Do nowego gabinetu wchodzi nowe ugrupowanie stronnictw. Torysi i liberalni Unioniści łączą się w jedną partję, tworzą większość w kraju, biją liberalów, dawnych Gladstonianów wraz z całym ogonem radykałów Labouchere'a na głowę.

Dawniejsza większość w parlamencie polegała wyłącznie na sojuszu pomiędzy gladstonistami a irlandzką narodową partją. Dopóki Gladstone stał na czele rządu, Irlandczycy szli za nim ślepo, przekonani o szczerości jego zamiarów wobec Irlandyi; odkąd jednak rządy i kierunek stronnictw objął Rosebery, stosunek obu grup większości zupełnie się zmienił. Irlandczycy wyrzucali premierowi nie bez słuszności, że nie trzyma się programu Gladstone'a, a home-rule stawia na drugim planie. Rzeczywiście Rosebery nie uczynił żadnego kroku

w ciągu swego urzędowania, aby zadowolnić narodowe życzenia Irlandczyków. Wniósł wprawdzie w parlamencie bil o dzierżawcach, uczynił to jednak raczej, aby się wydawało, że rząd coś robi dla Irlandyi, aniżeli w nadziei i z chęcią przeprowadzenia ustawy; o samorządzie irlandzkim zapomniał zupełnie. Pomimo to jednak deputowani irlandzcy, tak zwani antyparnelicy, popierali go swymi głosami w chwilach rozstrzygających, w tem przekonaniu, iż powrót do władzy torysów, nie jest w żadnym razie dla nich pożądanym; objawiali jednak swoje niezadowolenie zapomocą różnych wniosków, tudzież rezolucyj, które sprawiały rządowi wiele kłopotów.

Również niepewnem żywiołem byli radykaliści, rozporządzający stu blisko mandatami, stanowiący zatem bardzo ważny element rządowej większości. Ich daleko sięgającym wymaganiom gabinet nie mógł zadość uczynić i dlatego Labouchère i jego polityczni przyjaciele z niechęcią spoglądali na prezesa gabinetu, uważając go za utajonego konserwatystę. Olbrzymia popularność Gladstona i osobiste przymioty tego męża stanu utrzymywały solidarność rządowego stronnictwa; gdy zabrakło jego powagi, rozluźniły się węzły, łączące pojedyncze grupy partyi, a gabinet nieustannie krępowany obawą zniechęcenia ku sobie jednej z tych grup, nie był w stanie rozwinać dodatniej działalności. Dodajmy jeszcze starcie prowincjonalnych interesów Walii, Szkocyi i Anglii, a otrzymamy całkowity obraz czynników, podkopujących byt gabinetu Rosebereggo od czasu jego powstania.

Wszędzie bankrutujący liberalizm, utrzymywał się w Anglii jedynie dzięki potężnemu indywidualizmowi Gladstona i jego wielkiej idei: wynagrodzenia Irlandyi jej krzywd wiekowych. Z chwilą, kiedy Gladstone cofnął się do życia prywatnego, a kwestya irlandzka znikła z horyzontu, liberalizm angielski — zreszlą nieporównanie wyższy i szlachetniejszy — zamknięty w ciasnych doktrynerskich formułkach, utracił grunt w masach wyborczych. Przeciwnie konserwatyści, wzmocnieni przez liberałów unionistów, pod wodzą Chamberlain'a z jego programem społecznych reform, odzyskiwali stopniowo zaufanie narodu i systematycznie wypierali swych przeciwników ze stanowisk

politycznych. Mathew Arnold dawno powiedział, iż kwestya irlandzka jest wielką „chance“ dla konserwatystów, i że stary torysowski program nie da się do niej obecnie zastosować; nie też nie stoi na przeszkodzie, aby oni właśnie myśl Gladstona w zmienionej formie z czasem wykonali, a ta ewolucya, która się musi dokonać i na innych polach, zapewni konserwatystom jeżeli nie stałą, to niezawodnie dłuższą przewagę.

Z drugiej strony unioniści, którzy przychodzą dziś do rządu, rezygnują dziś ze swych dawnych radykalnych mrzonek. Prawdopodobnie uczynili to już wówczas, gdy się przyłączyli do opozycyi przeciwko drugiemu gabinetowi Gladstona. Obecnie przyjęli oni zmodyfikowany cokolwiek program reform społecznych, a taki gabinet będzie wpływem nie kompromisu, ale całkowitej koalicji dwóch stronnictw, które jedynie mu zapewnią warunki trwalszego bytu.

Do tej chwili jeszcze walka wyborcza nie ukończona, dopiero dzień 27 lipca przyniesie ostatnie wyniki wyborów. Ale dziś już rezultat walki wyborczej widoczny.

Z 670 wyborów dotychczas już wiadomy jest rezultat 638. Unioniści zdobyli 402, mają większość blisko 150 głosów. Liberalni pobici na głowę. Od r. 1832 nie było w Anglii takiej większości.

Nie porażka, nie przegrana bitwa w wyborczej kampanii dla liberalnego stronnictwa, ale klęska całkowita. Czterech ministrów z dawniejszego gabinetu Rosebery'ego przepadło przy wyborach: Sir William Harcourt, głowa partji, Shaw Lefèvre, Arnold Morley i nakoniec John Morley, chluba brytanskiej inteligencji. Na dziesiątki liczyć trzeba wybitnych pierwszorzędnych przewodników postępowej partji, których wyborcy porzucili: dość będzie wymienić pp. Blake, Howéll etc.

Całe okręgi, całe prowincye, które były silną opoką postępowego stronnictwa, od dawien dawna, odwróciły się od niego tym razem; okręgi, które były świeżo zdobyte i gdzie większość liberalna była słaba, powróciły z podwójnym zapalem do torysów. Wielkie miasta, jak Liverpool, Manchester, Birmingham etc. odstrychnęły się całkowicie od liberalnego stronnictwa. Nigdy w dziejach Anglii nie było tyle okręgów wy-

borczych, gdzieby liberalne stronnictwo kandydata nawet nie postawiło. Wybierają unionistów bez walki, bez współzawodnictwa. Może najboleśniejszym jest upadek Williama Harcourt, przewodcy liberałów w ostatniej Izbie: William Harcourt, minister finansów, leader izby gmin, wieloletni towarzysz Gladstona, autor owego demokratycznego budżetu zeszłorocznego, który nałożył progresywny podatek spadkowy na warstwy zamożniejsze, mąż stanu, którego Labouchère i stronnictwo radykalne chciało zrobić pierwszym ministrem w miejsce lorda Rosebery, sir William Harcourt, popularny weteran, słynny z dowcipu, wymowny, doświadczony strategik parlamentarny, od lat kilkunastu reprezentujący liberalny okręg Derby, pada przeciw nieznannej wielkości lokalnej, przeciw niejakiemu panu Bremrose.

Pada John Morley, wielki pisarz, polityk, autor słynnych monografi o Edmundzie Burke, Rich. Cobdenie, Voltairze i Rousseau, niegdyś redaktor „Fall Mall Gazette“, sekretarz stanu dla Irlandyi w gabinecie Gladstona i Rosebery'ego, chluba partyi radykalnej pada z swem hasłem „to mend or end the Lords“.

Pada w swym dawnym okręgu w Newcastle, w skutek agitacyi partyi robotniczej, która wołała przeprowadzić torysa, aniżeli dopuścić Morley'a.

Nietylko dla liberałów, radykałów i zwolenników samorządu Irlandyi wybory były klęską, były one również pogromem dla robotników.

Partya socjalistyczna straciła jedyne, uznanego zastępcę w izbie gmin, we wszystkich okręgach zaś stracili ogromnie. Ilość głosów oddanych na kandydatów socyalnej demokracji stanowczo się zmniejszyła. W 4 okręgach, w których postavili własnych kandydatów, Hyndmann, Jones, Hobart i Landsbury otrzymali 3720 głosów.

Założona w r. 1893 w Bradford przez Keir Hardi'ego socyalistyczna partya niezależnych robotników, „Independent Labour Party“ w 24 okręgach otrzymała 39.938 głosów. Razem partya socyalistyczna otrzymała 50.000 głosów na 6 milionów wyborców. Najdotkliwszą jest jednak dla nich strata Keir Hardi'ego w West Ham.

Keir Hardi, jedyny reprezentant socyalistów ortodox w dawnej izbie gmin, był robotnikiem górniczym. Wymową

czynił zaszczyt swej czapce robotniczej, która tak shokowała lordów w izbie gmin, ale namiętą napaścią partyi liberalnej, nie przebieraniem w wyrazach, obelgami rzucanemi na burżua, stał się w Anglii burżuazyjnej nie możliwym. Większość angielskich robotników nie chce nie wiedzieć o socyalizmie z kouty-
nentu importowanym, którego głównym propagatorem w Anglii jest Mr. Keir Hardi.

Kiedy to piszę, dochodzą mnie wieści o nowych klęskach liberalów. Cała Anglia, Szkocya i Irlandya w tej chwili wre i kipi. Miesiąc wyborczy zajmuje tak wszystkie umysły, że o niczem więcej w tym czasie Anglik nie mówi, nie pisze, nie czyta i nie myśli. Wiadomości wyboreze ogłaszają dzienniki w formie buletynów giełdowych, kluby wystawiają je na transparentach na ulicy. Nawet za granicą bawiący u wód chorzy zjeżdżają na wybory do domu. O mechanizmie wyborezym i zwyczajach, przypominających sceny z klubu Pickwicka, pomówię w najbliższym liście.

W. Giedrojc.



Listy z Niemiec.

III.

Berlin, 25. lipca.

(Program agrarny demokracji społecznej — Sprawy rzemieślnicze — Wystawy przemysłowe — Wystawa sportowa i gimnastyczna w Berlinie, jej etyczny kierunek — Pommiki).

Wśród cisy politycznej ogólną zwraca uwagę program agrarny socjalistów. Tymczasem jest to tylko projekt, który na najbliższym wiecu partyjnym, a więc prawdopodobnie w jesieni poddany zostanie pod obrady i głosowanie. Pomimoto zwrot taktyczny stronnictwa, które pozyskać pragnie już nietylko bezrolny proletaryat, ale pod pozorem opiekowania się interesami drobnych właścicieli ziemskich, pragnie wnieść swą agitację na wieś, jest zbyt ważnym faktem, abyśmy mu uwagi nie mieli poświęcić. Na ostatnim zjeździe niemieckich socjalistów we Frankfurcie n./M., deputowani Vollmar i Schönlauck podnieśli kwestyą agrarną, stając na stanowisku drobnych właścicieli rolnych, tak jeszcze licznych w południowych Niemczech, których dla stronnictwa pozyskać pragną. Zdaniem ich własność drobna nie ustępuje miejsca większej, przynajmniej proces ten nie dokonywa się równie szybko, jak koncentracja kapitałów w przemyśle, nie ulega przecież kwestyi, że drobna własność jest nadmiernie obciążoną przez podatki i długie hipoteczne, i że obronę jej w walce gospodarczej z wielką posiadłością, partya socjalistów przyjąć na siebie powinna. Jakkolwiek wśród zjazdu wyraźnie zaznaczył się i kierunek dawniejszy, według którego agitacja obejmować ma przedewszystkiem proletaryat bezrolny, wnioski południowców doprowadziły do wyznaczenia komisji, która zajęła się zbadaniem stosunków agrarnych w Niemczech południowych, środkowych i północnych (w tym celu komisya podzieliła się na trzy części) i do ułożenia tymczasowego programu agrarnego. Do komisji należą matadory socjalizmu, przedstawiciele obu kierunków, a więc między innymi Vollmar, Schönlauck, Bebel, Liebknecht, Schippel, dr. Quarck, nazwiska dobrze znane.

Projekt programu, włączony do ogólnego programu stronnictwa, zaznacza przede wszystkim, że stawia ono sobie zadanie polepszenia bytu klas pracujących i chce podnieść w zakresie istniejących stosunków położenie ludności przemysłowej, rolnej, oraz zajętej w przemyśle. Dla ludności rolnej partya starać się będzie o przygotowanie zawodowe, oraz o polepszenie warunków materialnego jej bytu. Pierwszy cel osiągnąć może przez zakładanie szkół fachowych, gospodarstw wzorowych, stacyj doświadczalnych i t. p., drugi przez reformy podatkowe, prowadzenie gospodarki w dobrach państwowych i komunalnych, oraz reformę długów hipotecznych.

W każdym z tych żądań socjaliści pamiętali o pogodzeniu teoretycznych swych postulatów z nowymi dążnościami, jakie pojawiły się wobec rozszerzającego się zakresu ich agitacji. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór pojedynczych punktów, które uledez mogą zmianom, a przede wszystkim ściślejszemu sformułowaniu (np. żądanie upaństwowienia długów hipotecznych) zaznaczmy, że w zakresie reform podatkowych partya domaga się usunięcia podatków przychodowych (gruntowych, domowych, przemysłowych) wobec zastąpienia ich przez podatek od majątku, dochodu i spadków, oraz zniesienia wszelkich przywilejów, jakie związane są jeszcze z posiadłością gruntową. Dążność do upaństwowienia ziemi występuje w żądaniu utrzymania i powiększenia obszarów, należących do państwa i gminy, oraz w administracji ich przez spółki rolne, złożone z drobnych właścicieli lub robotników rolnych, oraz utrzymanie używalności lasów i pastwisk. Najtrudniejsza kwestya obdłużenia omówioną jest tylko w jednym, częściowo już cytowanym paragrafie (15) bardzo niejasno i niedostatecznie. Wreszcie partya dążyć pragnie do uregulowania stosunków między pracą i kapitałem na wsi, tak jak czyni to w mieście.

Sprawa obowiązkowego zorganizowania rzemiosł nie schodzi z porządku dziennego. Komitet wysłany do Austrii, w celu naocznego zbadania, jakie następstwa pociągają za sobą obowiązkowe zgromadzenia rzemieślnicze, zbierał dane nietylko w Wiedniu, ale również w Pradze, Salzburgu i Bernie. Do jakich wniosków doszedł, dotychczas niewiadomo, organy rządowe występują już przecież przeciwko wprowadzeniu obowiązkowego świadectwa uzdolnienia. Dotąd uchodziło za prawdopodobne, że rzemieślnicy zorganizowani zostaną w korporacje, oraz izby rzemieślnicze, któreby obejmowały cały stan rzemieślniczy, są to przecież jeszcze pogłoski, a faktem jest tylko, że rząd niemiecki, uregulowawszy prawodawstwo fabryczne i do pewnego stopnia stosunki posiadania włósciańskiego, zajmie się teraz trzecim z kolei elementem ludnościowym, rzemieślnikami.

Niemcy mają w tym roku dwie wystawy przemysłowe,

w Strasburgu i Lubece, nie licząc wystawy w Poznaniu. Każda z nich jest prowincjonalną, jakkolwiek reprezentowane są na nich firmy z różnych stron państwa, wszystkie zaś stanowią przygotowanie do berlińskiej wystawy przemysłowej, która w roku przyszłym rozłoży się na olbrzymim placu w Treptow (15 minut drogi od miasta). Najświetniejszą z tych wystaw zdaje się być strasburska, przedstawiająca głównie przemysł wyższej i niższej Alzacyi, Badenu i Pfalzu. Zabrano się do niej z takim zapalem, że zamiast żądanych 250.000 marek kapitału na urządzenie, podpisano o akcyjną na 400.000. Wystawców zjawilo się 1300, że zaś każda firma zajmuje przestrzeń koło 20 metrów kw., więc i na rozległość wystawa przedstawia się pokaźnie, urządzoną jest gustownie. Najpierwsze miejsce na wystawie w Strasburgu zajmują wyroby przemysłu włóknistego, oraz maszynowego z Miluzy.

W Berlinie zaś na letnie miesiące urządzono wystawę artykułów sportowych i gimnastyczną. Wystawa ma na celu szerzenie przekonania, że ćwiczenia ciała są niezbędnymi w wychowaniu młodego pokolenia i życiu miejskiej ludności. Co tydzień w lokalu wystawy odbywają się odczyty, wykładające korzyści i zasady sportów. Że uwzględnioną tu jest higiena, a może i estetyka, to rzecz naturalną, ale dziwniejszem jest, że z wystawą sportową udało się związać dążenia etyczne.

W Berlinie roi się obecnie od ludzi, którzy radziłyby umoralnić i podnieść swoje społeczeństwo, którzy pragną je wyrwać z materializmu i bezmyślnego używania. Jedną z najczynniejszych jednostek w tym rodzaju jest Egidy. Ex-pułkownik, człowiek bogaty i pochodzący z zamożnej warstwy, cały swój majątek obrócił na szerzenie idei, które zbliżając się nieco do socjalizmu mają przeciw podkład przeważnie etyczny i wychodzą od zasad racjonalnego protestantyzmu. Pojęcia swoje szerzy on przy pomocy broszur i wybornie redagowanego pismka, które nie z treści, lecz z rozmiarów jest pismkiem, a daje artykuły doskonale i poważnie opracowane, *Versöhnung*, odczytów i zgromadzeń. Broszury jego biuro bibliograficzne przełożyło na 21 języków, przyczem oczywiście Egidy stracił blisko ćwierć miliona, a biuro zbankrutowało. Wystawa sportowa, jakkolwiek urządzona niezależnie od niego, posłużyła mu przeciw do wypowiedzenia ciekawego odczytu, w którym opierając się na koniecznej zależności duszy i ciała zaleca ćwiczenia fizyczne, jako środek moralnego kształcenia.

Podczas kiedy u nas przez lata cale zniecają się nad jednym pomnikiem Mickiewicza, w Niemczech stawiają ich cały szereg. Niedawno stanął w Berlinie piękny pomnik Lutra. Na wysokiej podstawie brązowej wznosi się w więcej niż naturalnej postaci,

wyniosła figura reformatora w natchnionej ku niebu zwróconej postawie. Otaczają ją współcześni zwolennicy i mężowie z epoki reformacyi i odrodzenia niemieckiego: Ulrich von Hutten, Franciszek v. Sickingen, Melanchton i inni. Poświęcenie pomnika odbyło się z ogromną uroczystością przy wielkim napływie ludu, duchowieństwa i przy udziale fakultetu teologicznego.

Podczas kiedy Luter dopiero po latach przeszło trzystu doczekał się pomnika w stolicy państwa, chociaż Brandenburgia i Prusy najwcześniej niemal były protestanckie, dziś i mężowie mniej wybitni po kilku już latach uczczeni zostają przez wielbicieli swych w ten sam sposób. W Meppen odkryto pomnik Windhorsta wzniesiony z datków dobrowolnych.

Na postawienie pomnika Heinemu nie zdobyły się dotąd Niemcy, a raczej tak mało cenionym jest ten poeta wśród prądów pongermańskiego szowinizmu, że nie znalazło się ani jedno miasto nadreńskie, które chciałoby plac ofiarować w tym celu. Pomnik bowiem wzniesiony zostanie ze składek dobrowolnych, a projekt jego jest na wystawie międzynarodowej sztuki, otwartej obecnie w Berlinie. Przyjmie go przecież New-York. Loreley, której postać pomnik wieńczy, otoczona jest trzema pięknymi postaciami, a tylko na przedniej ścianie wśród laurowego wieńca widać popiersie Heinego.

Wystawie zresztą oddzielną poświęcimy korespondencją, a wtedy i o innych projektowanych pomnikach pozwolimy sobie wzmiankę zamieścić.

S. Z. D.

